

starych regionów przemysłowych. Te obszary badań są bardzo istotne w dobie współczesnych problemów polityki regionalnej i rozwoju społeczno-ekonomicznego regionów. Z wystąpień przedstawicieli krajów uczestniczących w konferencji wynika, że występujące problemy nie są tylko domeną Polski, ale borykają się z nimi także Czechy, Słowacja, a nawet Szwecja.

Wymieniony podział na cztery grupy tematyczne miał charakter czysto umowny, zagadnienia bowiem przeplatały się wzajemnie. Część wystąpień miała charakter poznawczy i syntetycznie prezentowała omawiany temat, inne skupiały się na studium przypadku. W dyskusjach plenarnych ścierały się poglądy uczestników nt. stanu, perspektyw i

możliwości samorozwoju regionów oraz kształtu współpracy międzynarodowej. Bogactwo omawianych zagadnień, a także możliwość wymiany doświadczeń na forum międzynarodowym są bardzo istotne dla rozwoju badawczego, a jednocześnie przyczyniają się do wzbogacania oferty dydaktycznej. Należy mieć nadzieję, że konferencja w takiej formule, poszerzona o obecność przedstawicieli następnych krajów, będzie kontynuowana w przyszłości.

Doktor Dorota Rynio pracuje w Katedrze Gospodarki Przestrzennej i Administracji Samorządowej, zainteresowania naukowe autorki tekstu obejmują politykę regionalną i lokalną, politykę przestrzenną i przekształcania miast.



Felietony

Świat nam ucieka!

Kilka refleksji na początek nowego roku akademickiego

Antoni A. Kamiński



Część wakacyjnego czasu poświęciłem na uważne przeczytanie Strategii rozwoju Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu do 2020 roku oraz książki Jerzego K. Thiemego *Szkolnictwo wyższe. Wyzwania XXI wieku. Polska – Europa – USA*. Niniejszy artykuł jest rezultatem tych lektur.

Zacznijmy od znakomitej książki profesora Thiemego.

Obraz polskiego szkolnictwa wyższego, jaki się z niej wyłania, jest zastraszająco katastroficzny, ale niczym nie zaskakuje. Thieme rysuje go bowiem w oparciu o powszechnie znane raporty, opracowania, diagnozy i rankingi, które ukazywały się w ostatnich dziesięciu latach i są (powinny być) powszechnie znane, dlatego nie będziemy ich tu przytaczać. Zebrane razem wzmacniają efekt przynębienia. Zapaść intelektualna to najczęściej używane określenie charakteryzujące sytuację w polskiej nauce i szkolnictwie wyższym. Jej przyczyny mają różnorodne źródła, te najgłębiej ukryte, i dlatego najtrwalsze, wynikają z tradycyjnie konserwatywnego polskiego „paradygmatu historycznego”, w którym nie było miejsca na wiedzę i

twórczość intelektualną jako wartości najwyższe. Nieprzypadkowo – tak naprawdę – daliśmy światu tylko czterech wielkich uczonych: Mikołaja Kopernika, Marię Skłodowską-Curie, Stefana Banacha i Alfreda Tarskiego (gdy pytam studentów o dwóch ostatnich – zapada głucha cisza). Jak zauważył profesor Tadeusz Gadacz, tragiczne jest to, że polski aintelektualizm nie jest przypadłością jedynie najniższych warstw społecznych, w Polsce aintelektualne są elity. W związku z tym nie są w stanie zrozumieć, że jakość szkolnictwa wyższego ma coraz większy wpływ na jakość życia. Oczywiście, do tych przyczyn należą także negatywne zaszłości z poprzedniej epoki, jak również zaniechania i błędy, które zdążyliśmy popełnić w ostatnich dwóch dekadach.

Jakie są główne bolączki polskiego szkolnictwa wyższego? Referując je, Thieme posiłkuje się głównie istniejącymi opracowaniami: raportem Instytutu Badań na Gospodarkę Rynkową z 2000 r., raportem Banku Światowego z 2004 r., raportem przygotowanym przez OECD z 2007 oraz z tegoż roku „Autodiagnozą polskiego środowiska naukowego”. Spróbujmy je nazwać (nie wszystkie) bez wdawania się w szczegółowe uzasadnienia i bez hierarchizowania ich ważności. Wciąż ma miejsce nadmierna ingerencja państwa w działalność szkół wyższych. Równocześnie jednak żądana przez nie autonomia nie łączy się ze zobowiązaniem do odpowiedzialności za wyniki. System polskiego szkolnictwa wyższego jest zapatrzony w siebie i

w przeszłość, ciąży na nim inercja tradycji akademickiej oraz korporacjonizm oligarchii akademickiej prowadzący do obrony przywilejów. W środowiskach akademickich dominuje postawa konserwatywna i samozadowolenie. Polski system szkolnictwa wyższego jest nadmiernie homogeniczny, co utrudnia lub wręcz uniemożliwia kreatywność i innowacyjność, rodzące się w atmosferze różnorodności. Istnieje małe zróżnicowanie między uczelniami zawodowymi, akademickimi i nieakademickimi. Standardy najlepszych uczelni nie mogą i nie powinny być standardami dla całego systemu, charakteryzującego się masowością i ograniczonymi zasobami. Źle na stan polskiej nauki i szkolnictwa wyższego wpływa gerontokracja, wynikająca ze zbyt długiej ścieżki kariery akademickiej. Średni wiek profesora w Polsce to około 60 lat. Postulowane zniesienie habilitacji lub konieczność jej obrony poza własnym środowiskiem akademickim nie znajdują akceptacji. Podobnie nie może liczyć na poparcie postulat zlikwidowania tzw. profesury belwederskiej jako dożywotniej synekury i wprowadzenie systemu powszechnych kontraktów. Jako na istotne niedomaganie wskazuje się na brak obiektywnych kryteriów oceny osiągnięć naukowych (dlatego postuluje się stworzenie bazy recenzentów z zagranicy jako antidotum na rozpanoszone tzw. recenzje grzesznościowe). Kadra akademicka jest słabo mobilna, co prowadzi do zamknięcia się uczelnianych środowisk, zatrudniających nowych pracowników jedynie z grona własnych absolwentów i awansujących na stanowiska akademickie „swoich” habilitantów i doktorantów, czemu towarzyszy „ustawianie konkursów”, kumoterstwo i klanowość (w USA tylko 7% kadry naukowej wywodzi się z własnych absolwentów). Daje się zauważyć niechęć do wyjeżdżania z referatami na międzynarodowe konferencje, co częściowo wynika ze słabej znajomości języków obcych, zwłaszcza wśród uczonych starszego i średniego pokolenia. Zachwiane są proporcje między zadaniami badawczymi szkół wyższych, a obowiązkami dydaktycznymi na korzyść tych pierwszych, które decydują niemal wyłącznie o karierze i prestiżu pracowników. Do tego wszystkiego dochodzi zauważalna erozja etosu nauczyciela akademickiego. Zaczęła się ona już w PRL-u, w ostatnich latach – niestety – przybrała na sile. Coraz mniej są w cenie: bezwzględne służenie prawdzie, rzetelność badawcza, bezkompromisowość w wyrażaniu poglądów i formułowaniu ocen, stawianie obowiązków wobec studentów na pierwszym miejscu.

W ocenach stanu polskiego szkolnictwa wyższego jako stały lejtmotyw pojawia się problem niedofinansowania uczelni, co skutkuje mizernymi płacami i dającą się już zauważyć selekcją negatywną. Niskie zarobki powodują, że większość nauczycieli akademickich zmuszona jest poszukiwać dodatkowych źródeł utrzymania. Najczęściej zatrudnia się w prywatnym „biznesie edukacyjnym”. Wieloletowość wpływa na przemęczenie, permanentny brak czasu, ale także na stałe poczucie dyskomfortu psychicznego i moralnego, polegającego na tym, że wielu z tych,

którzy pracują w różnych tzw. wyższych szkołach (tylko nie-liczne zasługują na takie miano) ma świadomość uczestniczenia w swego rodzaju fikcji edukacyjnej. Przemęczenie skutkuje tym, że w swych macierzystych uczelniach pracują oni ze zmniejszoną aktywnością. Ze wstydu nie będą przytaczać, ile zarabiają nauczyciele akademicy w ościennych krajach i jak ich zarobki mają się do średniej krajowej. Dodajmy jeszcze, bo to ogromnie ważne, a rzadko podnoszone, że szczupłość finansów przeznaczanych na szkolnictwo wyższe jest przyczyną katastrofalnego stanu polskich bibliotek, jeśli chodzi zarówno o zasoby książkowe, jak i dostęp do baz danych i internetowych wersji czasopism naukowych.

Powołując się na opinie ekspertów i studentów, Thieme pisze, że polskie programy nauczania są „przestarzałe, w znacznej części nieadekwatne do potrzeb współczesnego świata, rynku pracy i wymagań globalizacji”. Polski model szkolnictwa wyższego jest – zdaniem Thieme – „absurdalny”, rozpoczyna bowiem „produkcję historyków, ekonomistów, biologów, którzy ledwie ukończyli 18 lat”. Przyjmować należy na uczelnię, a nie na wydział. „Uczelnia – pisze Thieme – zamiast wręczać studentom jednolity grafik zajęć, powinna oferować im katalog zawierający setki kursów dostępnych dla każdego studenta niezależnie od kierunku studiów, który byłby wybierany dopiero na wyższych latach studiów”. „Każdy wydział – kontynuuje – jest jak areszt, w którym zamknięci są studenci, ponieważ system finansowania powoduje, że uniwersytet staje się luźną konfederacją małych przedsiębiorstw-wydziałów o wąskiej ofercie intelektualnej”. Zdaniem Thieme, „ustawowe powiązanie kierunków studiów z wydziałami jest złe, gdyż podmiotem prowadzącym powinna być uczelnia, a nie wydział”. Istniejąca praktyka „prowadzi do wąskiej specjalizacji studentów, którzy nie są przygotowani do szybko zmieniającego się świata”. Wobec tempa zmian otaczającej nas rzeczywistości „potrzebna jest wszechstronność” – podkreśla Thieme.

Brak w naszym kraju – od dwudziestu lat – szeroko rozumianej **polityki edukacyjnej** jest według Thieme najważniejszą przyczyną złego stanu polskiego szkolnictwa wyższego. Brak ten wynika z kompromitującego nasze polityczne elity (?) całkowitego niezrozumienia roli wiedzy i wykształcenia dla cywilizacyjnego rozwoju kraju. Po roku 1989 inwestowanie w wiedzę, badania i innowacje nigdy nie stało się priorytetem polityki gospodarczej. To źle wróży Polsce. Pisał o tym profesor Bogusław Fiedor (kilka razy cytowany przez Thieme) w swej świetnej książce *Wzrost gospodarczy w kontekście współczesnych kontrowersji wokół teorii i polityki wzrostu*: „Podstawowe twierdzenia NTW [Nowa Teoria Wzrostu], a więc teorii eksponującej znaczenie nauki, techniki, innowacji z jednej strony, z drugiej zaś, inwestycji służących powiększaniu zasobów kapitału ludzkiego w gospodarce, nie stwarzają podstaw do optymistycznej oceny długotrwałości wzrostu gospodar-

czego Polski”. U podstaw takiej pesymistycznej opinii leżą między innymi takie czynniki, jak: „bardzo niski udział nakładów na B+R oraz szkolnictwo wyższe w PKB, zarówno finansowanych ze źródeł publicznych, jak i prywatnych oraz istnienie w praktyce polityki gospodarczej paradygmatu, że nakłady finansowe na powiększanie kapitału ludzkiego stanowią obciążenie budżetów publicznych, względnie wydatki typu konsumpcyjnego, nie są zaś nakładami służącymi powiększaniu (...) wzrostu gospodarczego”. Anachroniczny „dogmatyzm rynkowy” ma się u nas dobrze. **Opinia, że „każda złotówka zainwestowana w autostrady lub inne elementy infrastruktury zwraca się przez wyższe tempo wzrostu gospodarczego, natomiast złotówka «zainwestowana» w naukę jest – na ogół – nakładem bezpośrednio utraconym” – niestety, wciąż ma w Polsce zwolenników.** A więc nakłady na naukę i szkolnictwo pozostają od dwudziestu lat na niezmiennie niskim poziomie. W przeliczeniu wydatków na naukę na głowę mieszkańca przeciętny Szwed wydaje dziś 30 razy więcej od przeciętnego Polaka. My od dwudziestu lat – z imponującą konsekwencją – przeznaczamy na naukę tylko 0,6% PKB. Dziś już wiemy, że w najbliższej (bądźmy realistami – i dalszej) przyszłości nie ma co liczyć na więcej. Zapowiedź premiera sprzed dwóch lat, że do 2013 r. nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe wzrosną łącznie do 2%, jest już nieaktualna. Najświeższe enuncjacje przedstawicieli rządu przesuwały osiągnięcie tego progu na koniec dekady! Na udział naszych wojsk w okupacji Afganistanu pieniędzy nie brakuje, lekką ręką i bez żadnych skrupułów wydajemy na ten niecny cel coraz więcej. Polscy politycy nijak nie mogą pojąć, że naszym największym wrogiem jest własna głupota.

Bez opracowania zasad polityki edukacyjnej żadne reformy nie mają sensu. Polityka edukacyjna powinna stworzyć spójny system kształcenia od przedszkola do uniwersytetu. Bez równoległej i głębokiej reformy szkolnictwa podstawowego i średniego reforma szkolnictwa wyższego będzie kuleć. W dzisiejszym kształcie polska szkoła nie uczy myślenia – to jest jej największy mankament. Zanim się przystąpi do reformy szkolnictwa wyższego, trzeba rozstrzygnąć kilka dylematów. Przede wszystkim taki: jaką rolę w systemie edukacji mają odgrywać szkoły wyższe? Czy powinny być napędem rozwoju ekonomicznego i przekazywać studentom umiejętności, które podniosą ich prywatną wartość i zarazem konkurencyjność gospodarki, czyli „produkować” wysoko wykwalifikowanych fachowców, czy raczej kłaść nacisk na rozwój intelektualny i społeczny studentów, przybliżając im ideały sprawiedliwości, tolerancji, solidarności społecznej i wielokulturowości? Trzeba rozstrzygnąć: czy edukacja na poziomie wyższym ma być płatna, czy finansowana ze środków publicznych? Czy akcent położyć na niskiej jakości kształcenie masowe, czy pójść w kierunku kształcenia elitarnego (wtedy wzorem najlepszych uczelni amerykańskich trzeba wprowadzić egzaminy wstępne do niektórych uni-

wersytetów)? Czy uczelnie wyższe mają kłaść nacisk na przyswojenie wiedzy, czy raczej na umiejętności metodologiczne, czyli wyzwalać w studentach potencjał do samokształcenia, uczyć, jak się uczyć? Czy lepszy będzie model tradycyjny, czy innowacyjny, zorientowany na kształcenie ustawiczne?

Co proponuje Thieme? Nie widzi wzorców dla polskiej reformy szkolnictwa wyższego w Europie, dlatego proponuje oparcie jej na modelu amerykańskim. Jego zdaniem podstawową chorobą europejskiego i polskiego modelu szkolnictwa wyższego jest brak konkurencji, która organicznie wpisana jest w system amerykański. Nie ma lepszego od konkurencji mechanizmu „na przyciągnięcie najlepszych profesorów i stworzenie najwyższej jakości programów nauczania” – uważa Thieme. Nie ma też lepszego od konkurencji mechanizmu „eliminacji źle kształcących wydziałów i profesorów”. Powszechnie praktykowana wiara w egalitaryzm „pograża wszystkich w miernocie”. Względna stabilność finansowa, gwarantowana przez państwo, usypia uczelnie, w związku z tym są one niezwykle odporne na zmiany i nie mają motywacji do efektywnej alokacji zasobów. Dla powstania wysokiej jakości uczelni niezbędne są „różnicowanie i konkurencja”. Uczelnie – zdaniem Thiemego – „powinny mieć duży zakres autonomii, aby wykorzystać konkurencję dla stworzenia centrów doskonałości”. Państwo powinno przejść – postuluje – od „ściślej kontroli i nadzorowania poszczególnych szkół wyższych do określenia celów i założeń polityki edukacyjnej, ogólnych zasad działania systemu oraz mechanizmów finansowania i zachęty”.

Jest mało prawdopodobne, aby książka Thiemego wstrząsnęła środowiskiem akademickim w Polsce, nie takie „ciosy” zniósłoby ono bez większego uszczerbku. Dla tych, którym leży na sercu przyszłość polskiej nauki i polskiego szkolnictwa wyższego, będzie lekturą niezwykle pożyteczną i inspirującą. Z wieloma тезami Thiemego można się zgadzać, warto jednak nad nimi dyskutować.

Jak w świetle katastrofalnej sytuacji polskiej nauki i szkolnictwa wyższego wygląda nasza *Strategia rozwoju Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu do 2020 roku*? Odpowiedź będzie dyplomatycznie zawoalowana – wzbudza co najmniej dwa zdziwienia, wywołuje mieszane uczucia i zachęca do postawienia wielu pytań. Pierwsze zdziwienie nie wynika z samej *Strategii*, lecz ze sposobu jej przyjęcia. Z naszego uniwersyteckiego „Newslettera” dowiaduję się bowiem, że Wysoki Senat przyjął („zatwierdził”) projekt *Strategii* przedłożony przez prorektora Marka Łyszczaka po „krótkiej dyskusji”. Zdziwienie, rzecz jasna, wyniknęło z przekonania, że tego rodzaju dokument, mający, jak powinno się sądzić, kardynalne znaczenie dla przyszłości naszej Uczelni, zasługiwał na to, żeby się nad nim pochylić nieco dłużej i poddać go głębokiej, rzeczowej i szczegółowej analizie. Zdziwienie drugie dotyczy swego rodzaju preambuły poprzedzającej *Strategię*. Czytamy w niej, że

„jesteśmy wiodącym ośrodkiem twórczej myśli ekonomicznej i kształcenia menedżerów w naszym regionie Europy”. Czy nie stosowniej byłoby napisać: „zmierzymy”, „dążymy”, „jest naszym pragnieniem”?

Z formalnej i merytorycznej strony nie można *Strategii* wiele zarzucić. Cele, choć sformułowane nader ogólnikowo i czasami dość mgliście, są trafnie zdefiniowane. Skąd więc zmieszanie? Stąd mianowicie, że przy jej czytaniu co rusz ogarniały mnie wątpliwości: czy nie jest to aby katalog pobożnych życzeń, czyli, mówiąc po europejsku, zestaw *wishful thinkings*. Zgódźmy się, że opracowanie strategii nie należy do zadań specjalnie trudnych. Wszyscy wiemy, ileż to strategii dotyczących najróżniejszych dziedzin życia powstało w naszym kraju w ostatnich dwudziestu latach! Istna inflacja! Kłopoty zaczynają się wtedy, gdy przychodzi wcielić je w życie, wtedy najczęściej się o nich zapomina i tworzy nowe. Pierwsze pytanie, jakie może się nasunąć przy lekturze nowej strategii, dotyczy więc losów strategii rozwoju uczelni do roku 2010. Sięgnąłem do niej. Sformułowano w niej cały szereg konkretnych i ważnych zadań z dokładnymi terminami ich wypełnienia. Dlaczego nie sporządzono szczegółowego sprawozdania z realizacji poprzedniej *Strategii*?

Pytania następne dotyczą sposobów wprowadzania w życie szczytnych celów zapisanych w nowej *Strategii*. Czy wystarczy woli i samozaparcia, czy nie zabraknie środków, czy adekwatne okażą się zastosowane metody, czy opór „uczelnianej materii” nie będzie zbyt duży? I kolejne pytania – czy wystarczy tylko „wzmacniać”, „doskonalić”. „rozwinąć”, „rozszerzać”, „zwiększać”, „intensyfikować” to wszystko, co do tej pory robiliśmy? Ogrom wyzwań, stojących przed polskim szkolnictwem wyższym, wymaga zastosowania środków nadzwyczajnych, burzących istniejącą strukturę, podważających partykularne interesy lub ambicje poszczególnych grup i pojedynczych osób, likwidujących głęboko zakorzeniony „feudalizm” akademicki, naruszających latami nawarstwione nawyki i przyzwyczajenia. Jeśli popatrzyć na *Strategię* z tego punktu widzenia, nie proponuje ona jakichś radykalnych posunięć, jest umiarkowanie „układna” i wyważona, przedkłada metodę drobnych kroków nad rozwiązania ekstraordynaryjne. Można odnieść wrażenie, że niebagatelne bolączki i niemałe usterki polskiego szkolnictwa wyższego nie dotyczą naszej Uczelni.

Lakoniczność *Strategii* stawia na porządku dziennym potrzebę opracowania w miarę szczegółowego planu jej realizacji, w którym poszczególne jej punkty zostałyby wzbogacone konkretnymi. Chciałoby się na przykład wiedzieć, jakie konkretne zamierzenia kryją się pod niezwykle ważnym celem: „Tworzenie pozawydziałowych, interdyscyplinarnych instytutów badawczych”. Czy za tym „niewinnym” sformułowaniem kryje się zapowiedź istotnych i potrzebnych zmian w strukturze uczelni? Czy chodzi tu o postulowaną od dawna konieczność połączenia dublujących się katedr? Jakże to miałyby być instytuty? Czy

władze uczelni mają jakieś realne pomysły? Widzę – skromnie podpowiadając – pilną potrzebę powołania Katedry (Instytutu) Ekonomii Politycznej (to swoisty „skandal”, że do tej pory jej nie ma, wszystkie renomowane uczelnie takie katedry posiadają), w perspektywie – Katedry (Instytutu) Nauk Politycznych. Czy nierzeczywista jest wizja powołania w dalekiej przyszłości Wydziału Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych? Dlaczego nie pójść sprawdzoną drogą London School of Economics, która dla wszystkich na świecie jest niedościgłym wzorem? (Przy okazji propozycja dla „Portalu” – mógłby co kwartał zamieszczać na swych łamach solidny reportaż, z aneksem dokumentacyjnym, przedstawiający najlepsze uczelnie (wydziały) ekonomiczne Europy i świata; uczy się od innych!). Co stoi na przeszkodzie powołaniu Katedry Etyki Biznesu? Czy w planach władz uczelni jest powołanie Katedry Komunikacji Międzykulturowej? Przydałaby się niewątpliwie Katedra Psychologii Ekonomicznej. A może pokusić się o stworzenie Instytutu Gospodarki Opartej na Wiedzy? Czy nie warto się zastanowić nad – postulowanym od lat – uruchomieniem Centrum (Studium) Pedagogicznego, którego ukończenie dawałoby naszym studentom (i absolwentom) uprawnienia nauczycielskie (z moich obliczeń wynika, że byłoby ono finansowo samowystarczalne), a przy okazji mogłoby podszkolić naszych młodych pracowników w zakresie metodyki prowadzenia zajęć i sposobów wykorzystywania nowoczesnych technik dydaktycznych. Jest swego rodzaju paradoksem fakt, że do nauczania na szczeblu akademickim nie potrzeba żadnego przygotowania pedagogicznego, więc w praktyce, mówiąc delikatnie, jest z tym różnie; hospitacji zajęć – uderzmy się w piersi – nikt prawie nie przeprowadza; problem jest szczególnie widoczny na studiach niestacjonarnych, „obsługiwanych” najczęściej (mam wrażenie, że w sposób nadmierny) przez niedoświadczonych, pozostawionych często samym sobie, doktorantów.

Chciałoby się także wiedzieć, jak będzie realizowany cel: „Zwiększenie zakresu i jakości działalności wydawniczej, w tym wzrost liczby publikacji w języku angielskim”. Czy to oznacza, że odejdziemy wreszcie od wydawania anachronicznych „zeszytów dziedzinowych”? Czas najwyższy! Czy do „Argumenta Oeconomica” dojdą nowe czasopisma? Mam nawet pomysł na jedno z nich: „Economy in Contexts” (takiego tytułu, zdaje się, nie ma na światowym rynku wydawniczym, byłibyśmy więc pierwsi) – w redakcji wyłącznie trzydziesto- i czterdziestolatki: ekonomiści różnych szkół i maści, a ponadto filozofowie, socjologowie, psychologowie, geografowie, historycy, politologowie, kulturologowie, językoznawcy, komunikolodzy, nawet teologowie. Może Leszek Czarnecki, który, jak wieść niesie, zachował w sobie odrobinę „szaleństwa”, zechciałby wesprzeć tę, wychodzącą poza utarte standardy, inicjatywę kilkoma groszami? Czy uruchomiony zostanie specjalny (rektorski?) „Fundusz Przekładowy”? Dlaczego nie wydawać

także w innych językach?

Jak najśluszej sporo miejsca poświęcono w *Strategii* sprawie doskonalenia procesu dydaktycznego. Jest tu jeszcze dużo do zrobienia, trzeba ponownie przejrzeć programy nauczania, odejść od nazbyt specjalistycznego i zawodowego „nachylenia”, rozszerzyć ofertę zajęć fakultatywnych. We współczesnym świecie zniknęło pojęcie „zawodu” w tradycyjnym tego słowa rozumieniu (zawód w takim rozumieniu najlepiej zdobywa się na kursach). Powinniśmy kształcić – użyjmy oksymoronu – „wszechstronnych specjalistów”. Na wykształcenie wyższe, nie zapominajmy, składają się w równej mierze: opanowanie wiedzy i umiejętności właściwych dla danej dziedziny, zdolność do krytycznego myślenia oraz twórcza wyobraźnia, czyli sposobność do kreatywnych zachowań. Czy jesteśmy gotowi do przejścia od systemu tzw. minimów programowych, wyrażonych w postaci liczby obowiązkowych godzin dydaktycznych, do systemu minimów wiedzy i umiejętności? Warto się także przyjrzeć, czy pojawia się u nas (śmiem twierdzić, że niekiedy tak bywa) szkodliwa dla studentów i kosztowna dla podatnika praktyka dopasowywania rodzajów i liczby prowadzonych przedmiotów i godzin na nie przeznaczonych do stanu i zamiłowań kadry naukowej lub do konieczności załatwienia braków w tzw. pensum. Czy jesteśmy gotowi do przyjęcia wiadomości, że wielkie korporacje (dość często na świecie, rzadko w Polsce) chętnie na przykład zatrudniają filozofów ze względu na elastyczność ich umysłu i rozwiniętą wyobraźnię. Nie znając ekonomii albo zarządzania, wyróżniają się tym, że trafniej potrafią zrozumieć zachodzące w świecie procesy i zjawiska. Czy jesteśmy zdolni wyciągnąć z tego faktu odpowiednie wnioski? Światowa myśl ekonomiczna zaczyna rozumieć, że czynnik humanistyczny odgrywa w gospodarce niezwykle istotną (i coraz ważniejszą) rolę – czy to zrozumienie znajdzie odbicie w programach studiów proponowanych na naszej Uczelni?

Są jednak sprawy, których nie da się zadekretować czy zmienić takim lub innym zarządzeniem. Chodzi mi o sposób traktowania studentów, czyli o nasz do nich stosunek. Nie ukrywam, że sprawa ta leży mi szczególnie na sercu, dlatego o niej nieco szerzej. Studenci skarżą się często na brak osobistych kontaktów z wykładowcami, na oschłość, a nawet gburowatość niektórych pracowników. Sam niekiedy odnoszę wrażenie, że niektórym naszym pracownikom (na szczęście nielicznym) studenci przeszkadzają w spokojnym pobycie na Uczelni. Tłumaczą się zwykle nawałem obowiązków i brakiem czasu. Czy to jest jedyny powód? A może zwyczajnie nie mają im nic do powiedzenia, żadnych – prócz podręcznikowych – myśli do zaoferowania? Żeby być dobrym nauczycielem, trzeba mieć powołanie, rodzaj iskry bożej, trzeba lubić to, co się robi, lubić i szanować tych, którym naszą wiedzę i doświadczeniem życiowym **służymy**, być dla nich współodczuwającymi pomocnikami i partnerami, a nie tylko apodyktycznymi i dokuczliwymi

mentorami. Bądźmy wymagający, ale nie pognebiający, jeśli trzeba surowi, ale zarazem wspaniałomyślni i wybaczący takie lub inne potknięcia i błędy. Nie szczędźmy pochwał i zachęt, ale – gdy może to przynieść pożądany skutek – nie bójmy się sięgnąć po ironię, czy nawet dowcipne szyderstwo (brawo doktorze Scheuer!). Najważniejsza jest intencja – nasi studenci nieomylnie wyczuwają, czy stosowane przez nas „chwytły” wypływają z serdecznej o nich troski, czy li tylko z prozaicznej żółci. Niestety, z praktyki akademickiej znika powoli pojęcie mistrza, przewodnika, czyli mówiąc znowu po europejsku – **tutora**. Idę o zakład, że są na naszej Uczelni pracownicy, którzy nie rozumieją głębokiej treści nazwy **alma mater**, jakże trafnie używanej na określenie misji, którą powinny spełniać szkoły wyższe i jej poszczególni pracownicy.

A jak sobie poradzić z trapiącą polską naukę i szkolnictwo wyższe gerontokracją? Przecież ten problem – nie skrywajmy – dotyczy także naszej Uczelni. Ustawami i administracyjnymi zarządzeniami nic się w tej sprawie nie wskóra. Pozostaje próba (zdaję sobie sprawę jak trudna) wprowadzenia wewnątrzuczelnianego **uzusu**, czegoś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy, takiego oto zwyczaju, że po osiągnięciu 65 roku życia (można wcześniej) nasi zasłużeni kierownicy instytutów i katedr przekazują je – w glorii i chwale – w młodsze ręce i głowy. Jak wysokiego mniemania o sobie byśmy nie byli, pamiętajmy, że nie ma ludzi niezastąpionych. Rzucam więc hasło – **oddajmy władanie naszą Uczelnią czterdziesto- i pięćdziesięciolatkom!** Jestem głęboko przekonany o tym, że Uniwersytetowi Ekonomicznemu wyszłoby to na dobre. Że nie mają doświadczenia? Nie szkodzi – mają za to energię, świeże pomysły, są obcy w świecie, znają języki, nie boją się ryzyka, lubią eksperymenty, są gotowi sprostać konkurencji, **im się po prostu jeszcze chce**.

Właściwie każdy punkt *Strategii* „generuje” cały szereg pytań i zarazem zachęca do zgłaszania pomysłów, propozycji, odpowiedzi takich lub innych rozwiązań. Nie ma miejsca, aby pomieścić tu wszystkie. Jedną sprawę warto jednak choćby zasygnalizować. Podjęcia skutecznych działań wymaga kwestia podniesienia poziomu prac doktorskich i habilitacyjnych. To poważny problem, dotyczący wszystkie szkoły wyższe w Polsce, także – popatrzmy prawdzie w oczy – naszą Uczelnię. W rozmowach kulturalnych słyszę, że niektóre doktoraty ledwie, ledwie przewyższają poziom najlepszych prac magisterskich. O niektórych habilitacjach mówi się, że są sprawnymi kompilacjami niewnoszącymi do nauki żadnych nowych wartości, a świadczącymi jedynie o sprawności w posługiwaniu się komputerem. Jak skutecznie przeciwdziałać rozpowszechnieniu cytowaniu z tzw. drugiej ręki, referowaniu cudzych wywodów bez podania konkretnych stron, odwoływaniu się do adresów internetowych, których nijak nie można sprawdzić? Nie jest daleka od prawdy często wygłaszana opinia, że polska twórczość naukowa jest

wtórna, jałowa, przyczynkarska, skoncentrowana na marginaliach. Od standardów światowych odbiega także w warstwie warsztatowej.

Jak widać, pytań jest dużo, tyle samo różnych wątpliwości. Dobrze więc byłoby rozpocząć ogólnouczelnianą dyskusję nad sposobami i metodami wcielania w życie celów naszej *Strategii*. „Portal” mógłby stać się jej trybuną. Warto również zainicjować dyskusję nad naszą „uniwersyteckością”. Czas odpowiedzieć sobie na pytanie, co wraz z przyjęciem nowej nazwy zmieniło się na naszej Uczelni? Czym Uniwersytet Ekonomiczny różni się (lub powinien się różnić) od tak bezlitośnie porzuconej Akademii, której patronował światowej sławy ekonomista Oskar Lange? Na czym polegają (lub powinny polegać) jakościowe zmiany w funkcjonowaniu Uczelni? Przecież nie chodziło nam tylko o formalną zmianę nazwy! W poprzedniej strategii mówi się o dążeniu do oparcia działalności Uczelni na „modelu uniwersyteckim”. Nowa strategia o tym modelu nie wspomina ani słowem. Czyżbyśmy już w ten model weszli?

Przeczytałem gdzieś niedawno, że w pierwszej dekadzie XXI w. dokonano w nauce więcej odkryć niż przez cały wiek XX. Świat przyspieszył, zmienia się w tempie wręcz zawrotnym, a my, nie dostrzegając tego, zostajemy w tyle. Ze świętym spokojem zajmujemy się sprawami drugorzędnymi, wałkujemy brednie i androny. Telewizja publiczna karmi społeczeństwo coraz to głępszymi serialami, politycy (a nie eksperci!) debatują nad przyczynami katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem, społeczeństwo kłóci się o krzyże na chodnikach, po czym dziwi się i oburza, że wielki Miłosz nazwał nasz kraj „ciemnogrodem”. A poziom edukacji jak spadał, tak spada. Dlatego nikogo specjalnie nie oburzył fakt, że tegoroczni maturzyści zdawali matematykę na poziomie gimnazjalnym, a egzamin z polskiego można było zdać po uzyskaniu jednej trzeciej punktów. No cóż, londyńskie bary bez problemu wchłoną kolejny kontyngent polskiej siły roboczej, a rodzimi statystycy ogłoszą, że zmniejszyło się nam bezrobocie. A jeśli jeszcze jakaś zachodnia lub wschodnia firma łaskawie otworzy u nas kolejną montownię swych produktów, można będzie się wykazać wzrostem tempa rozwoju naszej gospodarki. Aż strach jednak pomyśleć, co się stanie, gdy przestaną napływać pieniądze z Unii Europejskiej (efekt „zielonej wyspy” osiągnęliśmy w głównej mierze dzięki unijnym funduszom, to im zawdzięczamy co najmniej połowę wzrostu gospodarczego), co będzie, gdy już wszystko, co można, sprywatyzujemy, z czego napełnimy państwową kasę, gdy inwestorzy zagraniczni znajdą kraje o tańszej niż w Polsce sile roboczej?

Zamiast polityki edukacyjnej mamy „politykę historyczną”, konserwującą nasze narodowe mitologie i nasze kompleksy; dumni z kolejnych klęsk, wymachujemy zarzewiałymi szabelkami, wzbudzając na świecie uśmiech politowania. Sąsiedzi, coraz mniej się nami przejmując, budują swoje „krzemowe doliny”, inwestują w przyszłość, w

szybkim tempie modernizują gospodarkę, instytucje państwowe i życie publiczne. My zaś niezmiennie kochamy Sienkiewicza, którego znany pisarz i uczyony Wacław Nałkowski nazwał szkodliwym „trucicielem” polskiej duszy, a najwybitniejszy intelektualista polskich wszech czasów, Stanisław Brzozowski, obwieścił przedstawicielem Polski „zdiecinniałej”. Dlatego wciąż nie mamy serca do Gombrowicza, który z wyszukaną ironią przekłubał polskie „balony” i szyderczo wyśmiewał naszą narodową megalomanię. Zewsząd słyszymy uwikłane w niebezpieczne konteksty hasło „Polska jest najważniejsza” (przekład niemiecki: „Polen über alles”), a zapominamy o konkretnych Polakach, którzy tę abstrakcyjną „Polskę” tworzą, chcąc w niej godnie i dostatnio żyć, zapominamy o młodym pokoleniu, które będzie musiało stawić czoła cywilizacyjno-kulturowym wyzwaniom XXI wieku.

Czy da radę? Sądzę, że tak. Skąd ta pewność? Z tego, że z roku na rok przychodzi do nas coraz lepsza młodzież – mądrzejsza, inteligentniejsza, ambitniejsza, ciekawsza świata. Prawda, że niekiedy z poważnymi lukami w wiedzy, bywa też, że słabo odczytana i z niską sprawnością językową. Nic to – nadrobią. Mają nad nami kolosalną i niepodważalną, bo biologiczną, przewagę – są po prostu młodzi, przed nimi stoi otworem cały świat i przepastne zasoby Internetu (na to, że będą chodzić pilnie do bibliotek, raczej nie liczymy). Gdyby jeszcze byli mniej potulni (fatalny nawyk wyniesiony ze szkoły), gdyby byli wobec nas mniej pobłażliwi i stawiali nam większe wymagania, gdyby zechcieli, zwłaszcza ci najlepsi, włączyć się aktywniej w radykalną zmianę naszej zapyziałej polskiej rzeczywistości, nie zostawiając tym samym sfery polityki karierowiczom i nieudacznikom, mój spokój o przyszłość naszego kraju byłby niczym nie zmaćony. Nasze zadanie polega na wpojeniu im przekonania, że nie ma szczęścia bez myślenia, że bezmyślność – to pustka. Że przyzwoitość, uczciwość i honor są cenniejsze od największych nawet pieniędzy, wysokich stanowisk i kariery. Jest więc chociaż jeden optymistyczny punkt w tych smutnych refleksjach o stanie polskiego szkolnictwa wyższego.

Pozwólmymy sobie na koniec na półzart – wdrażanie *Strategii rozwoju Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu do 2020 roku* rozpocząłbym od zawieszenia w gabinetach wszystkich pracowników naszej Uczelni, w salach wykładowych i pokojach studenckich plakatu z ostrzegającym memento: „**Świat nam ucieka!**”

Doktor Antoni A. Kamiński jest filozofem, pracuje jako starszy wykładowca w Katedrze Filozofii i Komunikacji Społecznej.

Doktor Antoni A. Kamiński został The Bestorem 2010 w kategorii piękny umysł podczas tegorocznej edycji wyboru przez studentów najlepszych dydaktyków.